

FELIKS GWIŹDŹ

FALE

(POEZYJE)

Jedynej, nad wszystkich
i nad wszystko Ukocha-
nej — te fale, szumiące,
pieśń o mojem życiu
poświęcam. - - - - -

LWÓW, KSIĘGARNIA POLSKA B. POŁONIECKIEGO.
WARSZAWA, E. WENDE I SP. — 1907.

9

LWÓW — Z DRUKARNI Powszechnej
UL. AKADEMICKA 8.

Hej! śwarny ci jo chłopiec!

Hej! śwarny ci jo chłopiec,
Hej! taki, co nic nimo,
A ino se ciupazke
W prawej rucce trzymo!..

Hej! ni mom nic,
Ino wirchy, bystre polany —
Hej! ni mom nic,
Ino dróge we świat kochany!

Hej! ociec mój!
Dyć świat cały moja dziedzina —
Hej! ociec mój!
Duzo-duzo dołeś lo syna!

Śpiéwom se rod,
Wiater śpiéwkąm pola zasieje —
Niejeden chłop
Z takiej siejby doś sie naśmieje...

Idęm se som,
Nic nie wlekęm nigdy na sobie —
Bedzie mi lzej,
Kie nareście legnęm se w grobie.

Hej! śwarny ci jo chłopiec,
Hej! taki, co nic nimo,
A ino se ciupazke
W prawej rucce trzymo!..

Z pieśni wstających zórz.

Wiosna.

Hej! nadchodzi święta wiosna, z pośród szarych idzie

[mgieł

I uśmiechem w pola woła wszystką ziemi wierną brać,
Oszczędzałem przez tę zimę, gromadziłem, małom mełł,
Głód cierpiałem, byle z wiosną było co w tę ziemię wsiać.

I choć biedak, mam czem obsiać... Mam w sąsiedku żyta

[wór

I dość sporą garść pszenicy, przeczyszczonej z wszelkich

[plew,

A choć mi już tak wypada: siać na twardych skałach

[gór,

Wierzę w plony... bom pod zasiew dał serdeczną, własną

[krew.

I radosny, jak to słońko, co se idzie popod las,
Krocę pośród mych zagonów, nadchodzącej wiosnie rad,
I tak myślę, że już pora, że potemu wielki czas,
Żeby obsiać puste łąny... Hej! wychodźcie siewcy z chat!

Taki nasz los.

Taki nasz los, taki nasz los:
We krwi, w płomieniach stać,
Kuć ostrza kos,
Kuć twardą stal — —
Kajdany rwać!..

Tyle już wieków, tyle lat
Błądzimy w czarnej mgle,
W posepnych izbach naszych chat
Dym oczy żre...

W posepnych izbach naszych chat
Rozsiadł się straszny, czarny Głód —
I jak więźniowie z poza krat
Patrzymy w słońca wschód!

W zgniliźnie stęchłych, ciasnych wiar
Piastował dusze nasze czas —
A jeśli w sercach gorzał żar,
To niszczył samych nas...

Tyle już wieków, tyle lat...

Taki nasz los, taki nasz los:
We krwi, w płomieniach stać,
Kuć ostrza kos,
Kuć twardą stal — —
Kajdany rwać!..

W drodze.

W noc czarną rzekł mi żarny głos:
Wstań prochu ziemski: „Idź i czyń!”
Wśród gradu kul i świśtu kos
Wojuj, gdyś mocen! — Słabyś? Giń!

Więc się wybrałem w czarną noc,
Iżby wypełnić słodki trud,
A miałem w sobie straszną moc:
Zemsty łaknący Lud!

A miałem w sobie głębie mórz,
Potworne bary dzikich skał,
Więc szedłem do wstających zórz,
Jak obłąkany mocą Szał!..

Zbłądziłem jednak... W wirze dróg
Spotkałem szarych ptaków rój,
Co obsiadł wzdłuż przydrożny głóg
I piszczął: Tędy!.. Tam cel twój!..

Wstrzymałem tedy wartki bieg
I wyteżyłem bacznie słuch — —
...Oto mię w krwawej drodze siekł
Pisk szarych ptaków i syk much...

Otom był wwiedzion w straszny błąd,
W mgłę nieświadomości, pustych słów —
Ducha ogarnął blady trąd,
Nie miałem dawnych zjawień-snów...

Dziś wiem, że trzeba w bagna pluć,
Jeśli zwycięskim ma być duch —
Przeciwne chmury siłą pruć
A szare stadła rozwiać w puch!

Więc — naprzód! W świtów wielki cud —
Po oswobodzin jasną wieść!..
Zwycięży, kto pokochał trud
I zdoła wszystko marne zgnieść!..

Przedziwne miasto.

Jest ci w oddali gdzieś, w oddali,
Miasto ogromne, co się wiecznie
W płomieniach własnych, we krwi pali —
Jest ci w oddali gdzieś, w oddali...
Jest ci nad srebrną, cichą rzeką,
Co do obdalnych płynie mórz,
Przedziwne miasto, gniazdo burz —
A w niem nie płynie miód ni mleko,
Jeno szaleją Zwiasty zórz — —
A miasto ono jest daleko...
Nad srebrną Wisłą, cichą rzeką...

Od Warszawy grzmią podkowy...

Od Warszawy grzmią podkowy,
Lśnią topory, ostrza kos —
Bywaj zdrowa! Bywaj zdrowy!
Taki los nasz, taki los!

Nie ten wojak, co łyzy leje,
Kiedy w polu ciecze krew,
Ale ten nim, co się śmieje,
Gdy na bój poń przyszedł zew!

Nie ten wojak, co przed Dołą
Drży, jak na jesieni liść,
Lecz ten jest nim, ziemi solą,
Co radośnie pragnie iść!..

Od Warszawy — hej! od Wisły —
Od Bałtyckich, Czarnych mórz
Gromy wstały i zawisły — —
W ogień, bracia!.. W dym i kurz!..

Wśród pustych pól.

Wśród pustych pól
Na próchniejącym krzyżu wiszę — —
Otom ci król,
Co duszom chciał dać dobrą ciszę...

W pośepnym, czarnym, wiecznym mroku
Szaleją ludu mego skargi — —
Krew ciecze z mego boku,
Schną wargi...

Odejdźcie już, łkające ręce,
Odejdźcie już...
Krwawią mię wasze bicze-łzy dziecięce,
Chłonące mię, jak czarne głębie mórz...
Odejdźcie już...
Oto mię Rozpacz po raz drugi męczy — —
Na krzyżu szarpie, pali krew!
Mój lud samotny klęczy
I łka swój krwawy śpiew...

Nademną mrok — podemną skalna ziemia
I straszny krzyk, co duszę mą oniemia...

Wśród pustych pól
Na próchniejącym krzyżu wiszę — —
Otom ci król,
Co duszom chciał dać dobrą ciszę...

Wstyd pali lica.

Och! tyle nocy, tyle nocy,
Spędzonych w zgniłym, wstrętnym brudzie,
Tyle banalnych łez w niemocy,
W oczekiwaniach, w snach o cudzie!

Och! tyle lichych skarg, litanij,
A — ni jednego z duszy Grzechu!
Tyle drobniutkich zachceń, manij,
Żeśmy niewarci nawet śmiechu.

Cóż my zrobili, cośmy dali
Tej druzgocącej skalne brzegi
Niepowstrzymanej w pędzie fali,
Co nowe szła torować ściegi?

Cóż my zrobili, gdzieśmy stali,
Kiedy z pomroków wstała zorza
I zajaśniała nam z oddali,
Jakby płonące, krwawe morza?

Wstyd pali lica, serce stygnie:
Tacyśmy mali, nędzni, marni!
Na moment czasem coś nas dźwignie,
Lecz wnet zniszczymy to — w kawiarni...

A!.. duszno, parno!..

My to przecie
Mieliśmy nową Polskę tworzyć —
Dziś nam się wszystko marnie plecie,
Pragniemy tylko: „Czegoś dożyć!...”

Bartoszewi

w dniu odsłonięcia Jego pomnika w parku
Łyczakowskim we Lwowie, 8. lipca 1906. r.

Jesteś mi znakiem widowym tej mocy,
Co w piersiach braci mej siermiężnej gorze,
Gwiazdą przewodnią w mrokach długiej nocy
I pługiem mocnym, co pod zasiew orze.

Jesteś mi słupem ognistym, co znaczy
Drogę idącym ku wstającym świtom,
Nadzieją w czarnych godzinach rozpaczy
I drogowskazem, co wiedzie ku szczytom.

Z ziemi powstałeś... Czarna, polska gruda
Na świat wydała Cię, nie wiedząc wcale,
Że będziesz czynił wiekopomne cuda
I porwiesz z sobą, jak wicher, Ludu fale.

Z ziemi powstałeś... I w nędzy a głodzie
Poszeptom wiatrów nastawiałeś ucha —
Aż nawiedziła Cię wieść w chłopskim grodzie,
Iż Tobie danem jest obudzić Ducha.

Więc pokłoniłeś się wielkiej nowinie
I z kosą w ręku wyszedłeś na pola — —
A wtedy przeszedł szum — „Polska nie zginie,
Bo Polska to jest Lud — i jego Doła...”

Tatry.

W słoneczne rano.

Tysiącem cudnych barw mienią się szczyty Tatr —
Słoneczne rano... Jaśń zagląda w wszystkie groty...
Na pniaku siedzę sam i śnię królewskie loty —
Gdyby tak w Polskę gnać, mieć pęd, jak Halny Wiatr,

Gdyby tak w Polskę gnać w słoneczne, cudne rano,
Za sobą wiodąc huf Rycerzy, którzy spali —
I zbudzić wszelki duch i zagrać pieśń niegraną...

I wetknąć zbroję w dłoń, dać lśniący miecz ze stali
I opancerzyć pierś! Hej! turnie moje, turnie!..
— Gdyby tak jeszcze raz choć jedną chwilę przeżyć
górnienie!..

W górach.

Na skał grzebieńie kędzierzawe, na czoła dzikich turni
Szalony gnałem, jak Wiatr Halny, jak mocna siła sił —
Gromem zjawiałem się na halach, (— jak zbójnikowie
[jurni!.),
Smutki-m poniechał wszystkie — młody — radością
[tylko-m żył!

Hej! kiedym pojrzał po dolinach, co u nóg moich legły,
Gdym skalne wały pod swe stopy otusznie rzucił —
[zbój —
To wszystkie złote gór potoki i złomy ku mnie biegły,
Wołając na mnie: bracie! synu! nie odchodź, boś ty
[mój!..

I tak mnie dziwnie opętały, urzekły po wsze wieki,
Żem ostał w Tatrach jasną granią, tchem wichrów,
[szumem wód —
I dziś — wśród gór najwyższa góra — spozieram w świat
[daleki
I myślę... ruszyć wraz z turniami na wielki bój i trud...

Nad Zmarzłym Stawem.

O! jak mi grają zimne echa fal,
O jak żałośnie płyną ku mnie, ku mnie...
Chciałem utopić w Zmarzłym Stawie żal,
A oto niosą mi go w czarnej trumnie...

Chciałem utopić w Zmarzłym Stawie ból
I smutek straszny mojej skalnej ziemi,
Lecz oto niosą mi go echa pól...
Tak patrzą na mnie oczyma smutnemi...

Chciałem zatracić całą istność swą
W czarnej głębinie, w szalejącym mroku — —
I kiedyś stać się nieuchwytną mgłą,
Zawisającą gdzieś na skalnym stoku...

Lecz echa idą — wśród jęku i łez
Coraz to wyżej płyną do mnie, do mnie —
Bom ci wszystkiego początek i kres
I matkę Ziemię tak kocham ogromnie...

Szum fal.

W martwocie głuchych nocy łkający bezradnie,
Przykuty do skał twardych szatańską przemocą,
Łańcuchy szarpie — do krwi! — A podemną, na dnie
Jeziorne głębie szumią: Góry cię zdruzgocą!..

A przecież pomnę... Ongi — w przeradosnym szale
Z otchłannych głębin z niemi rosłem w te zastępy
Potwornych skał-mocarzy... I szumiały fale,
Ze nikt nam serc przezczystych nie poszarpie w strzępy.

A przecież pomnę... Ongi — w hymnie naszych wiosen
Braterska była nuta i jedno śpiewanie,
Że ludziom przyniesiemy kojącą pieśń sosen
I nierozłączne, dobre, wieczyste kochanie...

O góry moje mocne, Tatry czuwające!
O święte moich braci-zbójników komory!
Cóż mi to szumią waszych wód głębie płaczące,
Cóż mi to szumią w dali drzemiące jawory?

O Tatry, moje Tatry!..

O Hanusinych oczach.

Patrzała hań! kanysi w pola,
Na złote łąny zbóż,
Na wąskie miedze i ugory,
Na kopce dzikich róż.

Patrzała na grające lasy,
Na srebrne wstęgi rzek —
Wtedy to rodził się w jej oczach
Na wszystkie smutki lek.

Wtedy to stałem w kwietnych polach...
Wtedy patrzyłem w nią...
I zadumanych łąk pytałem,
O czym też szczęsne śnią?

O czym też śnią jej całunkami
Pieszczone w złoty dzień
Te ciche łąki, łąny, bory,
Jej cudnych pełne snień.

A kwietne łąki, lasy, łąny
Szeptem śpiewały mi,
O czym śni każdy kwiatek w polu,
O czym Pan Jezus nawet śni:

— Że Hanusine oczy ładne,
Że Hanusine oczy — cud,
Że w Hanusinych oczach słońce
I tęcze świętych złud.

Śpiewały mi słoneczne struny,
Srebrne błyskania wód,
Że Hanusine oczy jasne,
Jak słońca letni wschód...

Więc utonąłem w słońca wschodzie,
W blaskach płomiennych łun —
Zawładło nami Miłowanie,
Królestwo złotych run...

To było dawno... w dzień słoneczny...
To było dawno... dawno już...
Hanus patrzyła wtedy w pola
Na kopce dzikich róż...

Sabałowe widzenie.

Hej! któż to taki harny, co na gęślickach grający
Popod turnie se idzie w Matki Boskiej dzień święty?
Kapelusik strojony w kostki, rżnięte w Orawie,
Zarzucony na bakier... Cuha biała, jak śnieżne
W dzień zimowy ugory, obramiona dokoła
Wstęgą, jak las, zieloną — a pod szyją wyszyta
— Rzekłbyś — w leśne paprocie — — biała cuha góralska
W pięknym zwisa nieładzie hej! aż po same kolana!..
W blaskach słońca się iskrzy przepiękna klamra złocona,
Spinająca pod szyją w Dunajcu praną koszulę.
Jeszcze harniej jaśnieją mosiężne, duże guziki,
Które pono zmajstrował kowal Rycerzy Zaśniętych
Drzewiej, w czasach królewskich... w Kościeliskiej
[Dolinie...]

Powybijane na pasie, który mu ściska brzuch,
Jarzą się, iskrzą, błyszczą, jak szkła cudowne na słońcu.
Parzenice i raki i sznur, który znać zdala
(Pewnie we dwaście złożony, bo strasznie bije w oczy)
Szumnie pysznią się, zdobiąc honorność pięknej urody...

Hej! cóż to za parobek, co na gęślickach grający
Popod turnie se idzie, jak zbójnik wycyfrowany?

Zje dyć to Jaś Sabała, zje dyć to Sablik z Kościelisk,
Co sie Krzeptowski zowie, co gra, jak Pan Bóg przykazał..

Hej! Gra Sabałów Jaś—hej! mój ty Boże jedyny!..
Hej! gra Sabałów Jaś—a ino w turnie se patrzy,

Już przeszła w drugą ubocz — i tuka se i śpiewa —
Sabałów Jaś Jej gra — tatrzańskie grają drzewa...

— — — — —

Hej! gra Sabałów Jaś — ino se w turnie patrzy —
Hej! gra Sabałów Jaś — ino se w lasy spoziera,
Bo lasy rade wtórzą, bo turnie rade słuchają
I w nich to, nie kainziej, Najświętsza Panienczka
Owieczki rada pasie i tuka se wesoło,
Do Sabałowej Nuty przepięknie przyśpiewując,
Kiedy se idzie strojny popod turnie grający...

Zakopane, w maju 1904.

Jako Mateja w karczmarce,
a karczmarka w nim sie zalubiła.

Hej! pod górami ciemny las — po ciemnym lesie
Krzyk się w dal niesie, ryk i wrzask — huk się w dal
[niesie.

Pośród omszałych, starych drzew, wśród dębów starych
Lecą płomienne głosy ich, zbójników jarych...

A w lesie przy gościńcu
Jest karczma murowana,
A w karczmie karczmareczka,
Hej! Jakby malowana...

Hej! Karczmareczko miła,
Kany-żeś sie to skryła?

Już przy dębowych wrotach są, czekają ciebie
Chłopcy radośni, jak ten świt ranny na niebie —
Już, już w dębowe wrota tną ciupagi złote —
Hej! Karczmareczko, wpuść-że, wpuść zbójników rote...

I wyszła karczmareczka,
Płacząca cała —
Jak te janiołki święte,
Caluška biała...

Iskrzą się oczy chłopców — Hej! — Karczmarko ładna,
Dyć ci z kochanek naszych już nie zrówna żadna.
Tak cię wychuchał dziki las — potoki głośne —
I te błękitne grania Tatr, jak wiatr ponośne,
Tak cię wymilił poszum drzew — karczmarko ładna,
Że ci z kochanek naszych już nie zrówna żadna.

Karczmarka prosi w chatę —
I męża głośno woła —
A zbójcy se usiedli
Na ławach dookoła.

Hej! na dębowych ławach wraz posiedli jurni,
Błyskawicowych pełni śnień — jak bogi, chmurni...
Sam się Mateja w siebie wgryzł — na dziewczkę patrzy
I, jak ta gałąź, chwieje się i coraz bledszy
Głowę w mocarnych dłoniach mnie, przeciera oczy —
Hej! nie odejdzie go ten czar, ten czar uroczy...

— „Wina!“ — Przynieśli wino-cud — uherskie wino —
„Napij się ze mną, dziewczę, pij — pij — pij, dziewczyno!
„Chłopczy! — do braci harnaś rzekł — zagrajcie cięto!..
„Dyć dziś wesele wielgie nam i wielgie święto!“

Leci muzyka, leci w las, zawodzi smętnie,
Rwie się tatrzańska nuta w dal — harnaś namiętnie
Objął karczmarkę piękną w pas — patrzy w jej oczy...
Hej! nie odejdzie go ten czar, ten czar uroczy...
— „Wina!“ — przepili jeszcze raz, a wtedy z pola
Wszedł chłop ogromny, smukły chłop, jak ta topola.

Karczmarka pije wino,
Zbójnicy cięto grają —
Hej! Jak sie też to strasnie
Zbójnicy w niej kochają...

...Słyszysz... Karczmarko miła?
A pono ślub był wczora?
Cóż cię to w sercu gryzie?
Zabijże -że, zgnieć upiora!..

Gazda się skłonił aż do stóp: — „Wybaczcie mili“ —

— — — — —
„Wina mu dajcie!“ — harnaś rzekł. — I razem pili...
Wśród zbójców weszedł pięknej mąż i pił radośnie,
A tu muzyka gra i gra, tak gra miłośnie...
Harnaś Mateja mruknął coś — już chłopcy stoją —

„Ja wam zaśpiewam!“

— „Wiemy już!“ Winem się poją.
Potem — śleobodno w izbie już — muzyka ino
Gra tak miłośnie, gra i gra... W głowach grzmi wino...
A mąż karczmarki śmieje się, weselnie śpiewa:
„Hej! hej! Mateja harnaś jest!“ — pijany ziewa...

Mateja zgrabnie przygiął się i klasnął w dłonie,
Muzyka tak siarczyście gra, aż dudnią błonie
I one czarne wały gór i lasów wstęgi,
Co zatoczyły wokół Tatr błękitne kręgi.
Przed karczmareczką harny stał i pił jej oczy —
Hej! bo już całkiem zawładł nim ich czar uroczy...

„Zatońc se mną, zatońc,
Kacmarecko sumno —
Ześ tońcyła se mną,
Bedzies jesse dumno!“

Drobnego zaczął przed nią bić,
Aż iskry szły z pod jego nóg —
Jak sie nie zaczął przed nią wić,
A podskakować w górę, tukać,
Aż Tatry jęły głośno hukać,
Aż sie dziwował w niebie Bóg
I gwiazdy, choć był jasny dzień,

Na niebo wyszły wszystkie wraz
I zazierały poprzez sień,
Jak to tańcował harnaś nas...

A karczmareczka boczkowała
I strasznie ładnie mu śpiewała
O tem, że rano słońko wstaje,
A wieczór idzie w obce kraje,
Że potem znowu miesiąc złoty
Wychodzi z głębnych ocz Tęsknoty
I Miłowanie po wsiach wodzi,
Że spać nie mogą młodzi...

A z izby wszyscy wysli już — zostali ino:
Mateja — ona — gracze — mąż — i złote wino...
Wtedy Mateja zmienił tan, przemienił taniec
I zbójnickiego zaczął ciąć, jak opętaniec.
A potem chwycił wina dzban — jął je rozlewać
I tańczyć, szaleć, pić i pić — i śpiewać, śpiewać!..

A w onym szale patrzył wciąż to na powałę,
To w migocące szpary ścian, wciąż oko śmiałe
Kanyśi zwracał poza drzwi — kanyś za lasy,
A tu mu gęśle grały — hej! dudniały basy...

„Kacmarecko moja,
Nalej wina, nalej —
Dyć, jak mi nalejes,
To pódziemy dalej!“

I dał karczmarce wina dzban,
Więc w puhar mu nalewa...
Wraz piją... Potem wściekły tan,
A harnaś znowu śpiewa:

„Myślołek, ze z nieba
Pon Bóg ogień leje,
A to kacmarecki
Licko cérwiénieje.

Licko cérwiénieje,
Gorejąm ocęta —
Hej! kacmarecko moja,
Boginko zaklęta!“

Zawrzała krew — ogarnął dur
Ich serca, myśli, dusze...
W obłądny tan, jak wały chmur,
Pognali w zawierusze...

A harnaś teraz śpiewa — i patrzy na powałę —

„Letko, Janku, stąpoj,
Bo powała trzescy —
Usłysy kacmarka,
Połomie ci kości“.

Karczmarka już doznaku o wszystkim zapomniała,
Śpiewała-tańcowała, śpiewała-tańcowała...

A harnaś znowu śpiewa:

„Miěj uwage, Florku,
Kiełbasy na kołku —
Jest pono i séry:
Cosik dwaścia štéry“...

Karczmarka już doznaku o wszystkim zapomniała,
Śpiewała-tańcowała, śpiewała-tańcowała...

A harnaś znowu śpiewa:

„Zatkój spare wiechciém,
Bo światełko widać —
Uwidzi kacmarka,
Mogłaby nos ścigać“. —

Karczmarka już doznaku o wszystkim zapomniała,
Śpiewała-tańcowała, śpiewała-tańcowała...
A mąż jej, z którym wczora ślub brała u ołtarza,
Pijany, śpi pod ławą, w snach djabłom coś wygraża.

A harnaś znowu śpiewa:

„Chłopcy moi, chłopcy,
Kieście już skończyli,
Mozebyście se karcumą
Fajki zakurzyli!“...

I nagle w izbę bucha dym — w oknach płomienie —
Na polu jurnych chłopców gwar i ciupag lśnienie.
Karczmarkę już opętał strach, załkała głośno,
Lecz muzykowie tłumią płacz nutą ponośną. —

„Nie chodźcie górami,
Ino dolinami —
Hej! siednę na karego,
Wnet będę za wami!“

Zaśpiewał harnaś, chłopcy już znikli w oddali...
Muzycy grają — tańczy zbój — karczma się pali...

A w karczmie karczmareczka
Hej! taka ładna strasznie,
Że o ładniejszej żadne
Nie powiadają baśnie...
Już ręce załamała,
Już sie harnasia chyta
I w zawstydzeniu cała
O Miłowanie pyta.

Lecz harnaś nie powiada —
Nie patrzy na nikogo —
Kazuje grać — niewiada,
I po co i dla kogo...
Muzycy grać przestają,
Już ogień ręce parzy —
— „Graj mi, przeklęta zgraj!”
Herśt dukatami darzy...
— A ty, karczmarko moja,
Ty — dziwo — rusalico —
Tańcz ze mną, tańcz i szalej,
Całować daj twe lico.
W ogniu zrodzone Miłowanie,
Więc w ogniu niechaj żyje!..
Hej! Jakie słodkie całowanie,
Jak serce żarem bije...
Nie chciałbym, żeby ciebie
Pieścili, całowali,
Choćby anieli sami w niebie —
Więc niech się miłość nasza spali!
A przy muzyce tak wesoło —
Gdzież mąż twój?.. Uciekł w pole!..
Grajcie!.. Radością płonie czoło —
Wina postawię wam na stole!..
Grajcie — lub... idźcie i wy w bory —

Idźcie — ostawcie ino sprzęt...
Same grać będą gęśle... Idźcie...
Z karczmarką będę sam...
Nikommu nie dam jej — tej zmory,
Co mię wyzwala z życia pęt...

I pošli harni muzykowie,
Pognali już płonący —
A któż wie, kany ich bratowie,
Któż wie, gdy bór milczący?
Hej! któż wie, kany ich bratowie!..

A tu za nimi karczma płonie,
A w karczmie harnaś-zbój
Z karczmarką śni przywidzeń kraj,
Gdzie wieczny raj, gdzie raj...
I jeszcze lica jej całuje
I usta — włosy — oczy —
A ponad nimi ogień płonie
I w okna bije płomieniami —
Już — już sosręby z trzaskiem lecą —
Już — już ich ręce, jak gromnice,
Ogniami czerwonymi świecą —
I z ust języki-ognie płyną
I z oczu lecą łyskawice —

I stoją razem dwa płomienne słupy:
Karczmarka piękna i Wojtek Mateja,
Rusałka pono i harnaś największy —
Oboje strasnie w sobie zalubieni...

Kraków, w styczniu 1905.

Z tęsknoty.

Pisałem do was listy —

— — —

W noce jesienne, tak smutne,
przy oknem siadał i patrząc w mrok ulic,
jak obłąkaniec szukałem was, skały,
Tatry podniebne — —
i pozdrowienie słałem wam we łożach,
w serdecznych, biednych uśmiechach nędzarza,
i długie, długie, gorące, jak słońce,
ciche, jak poszum gibkich drzew w południe,
pisałem do was, Tatry, smętne listy...

W jednym pytałem się,
jako tam teraz, na jesieni,
po halach wiatry gonią —
jako tam teraz, na jesieni,
smereki śmigłe szumią — —
jak w stawach i jeziorach
rozbite dzwony dzwonią?

Pytałem się,
czy kosodrzewin las, jak drzewiej,
chce się ku szczytom waszym dostać —
czy gencjany na polanach,
jak dawniej, uśmiechają się?
czy mają takie same ładne,
ciche oczątka zadumane,

i czy tak samo was kochają?
Pisałem długi, długi list,
lecz we łzach się rozpuścił
i nie posłałam go...
Ale wam pewnie wiatr, co gna od stepów,
przywiął mój smutek głuchy i tęsknotę
i list przeczytał — —
A wyście żadnej odpowiedzi
ku oknom moim nie przywiały,
Tatry!..

A potem — potem, w drugim liście,
pisanym w noc zimową,
pytałem — czy aniołki już chodzą po polach,
czy Boże Narodzenie wnet zwiastują gwiazdy
i czy z nadejścia Chrystusa
wielka wśród ludu mego jest uciecha?

— — —
A potem serce zbolełe wołało,
gdzie jest mój dom?
gdzie chata moja cicha,
co w rzędzie innych chat,
pod jabłoniemi dzikiemi,
jak spracowana gaździna
ma stać, zadumy pełna i powagi?
Gdzież jest mój dom?
Czy go orły rozniesły po wirkach,
czyli go wiatr rozerwał?
Ojcowie moi, staruszkowie siwi,
Tatry wy moje, Tatry,
Gdzie dom mój, gdzie?
Ponoś ci go nigdy nie miałem — —

poność ci go nigdy mieć nie będę. — —
Wy jeno, harne Tatry,
wy jeno moim domem
a bukowe listeczki,
a bukowe listeczki,
moje to, moje poduszcзки...

Pisałem długi, długi list,
lecz we łzach się rozpląnął
i nie posłałem go...
Ale wam pewnie wiatr, co gna od stepów,
przywiał mój smutek głuchy i tęsknotę
i list przeczytał. — —

O tak! pisałem do was, moje Tatry,
list setny i tysięczny i wszystkie zapewne
przyduł wam wiatr,
lecz ten ostatni list,
z którego krew ocieka,
niech pozostanie wieczną tajemnicą...
Jak limba,
co nad przepaścią wyciąga ramiona,
Śmierci czekając samotnie,
tak ja wyciągam tęskniące ramiona,
Śmierci czekając z moją tajemnicą. — —
I chyba przepaść, w której limba legnie,
grób, w którym śmierć mię zamknie,
treść jej wyjawi wam — mocarne Tatry —
Tatry, miłości strasznej nieznające...

Płacz.

Płacz.

Rzekłem: niewieście nie dam serca,
Bowiem jej miłość drogi płacze,
Wolę wysysa, czyn uśmierca,
Myśli zabija ręce.

Rzekłem: zamknięte będą wrota
Przed tą, co niszczy i zatracą —
Przeklętą będzie ta tęsknota,
Co ku niej oczy zwraca.

Pustka niech będzie przed nią głucha
I wieczny mrok i dróg zawiałość,
Aż ukrzyżuje noc jej ducha
I skona grzeszna miłość.

Lecz ona przyszła do mnie — zaczęm
Już bezdrożami pędzę za nią —
W mrok, w dal — jak dziecko, pędzę z płaczem
Za tą okrutną Panią.

Noc.

Kocham Cię!..

Niech Ci zanieśie Noc te słowa,
Niech je zapali nad Twem łóżem,
Z kajdan męczeństwa je rozkowa,
Każe im łkać płonącem morzem.

Kocham Cię, kocham — Noc wie o tem,
Bezsenna moja powiernica,
Co mię oplata mroków splotem,
Oczy całuje, usta, lica...

Ona to, Noc, oblubienica,
Co przy mnie z dawien dawna stoi,
Raz męczarniami ból podsycą,
To znów go zjawą Twoją koi,

Ona niech powie Ci te słowa,
Niech je zapali nad Twem łóżem,
Z kajdan męczeństwa je rozkowa,
Każe im łkać płonącem morzem —

Iżę Cię kocham, kocham...

○ zmroku.

O zmroku — w Twoich oczach widzę złote Tatry,
Radość skał i śpiew jezior i smereków taniec,
Zadumę sennych polan, żar płonącej watry
I cudnych kwiatów górskich stubarwny różaniec.

O zmroku — w Twoich oczach widzę białe chaty,
Nad nimi wonne dymy i głuche błękity...
Daleką baśń mej ziemi, słyszaną przed laty...
Kamienne, święte bogi i radosne mity...

O ciche, dobre oczy! O jasne-wy, moje,
Utonąć chciałbym po wiek w tej waszej dobroci —
Bo i gdzież w mojej drodze znajdę czystsze zdroje
I któż mi ją swem światłem — słoneczniej ozłoci?

Przy Czarnym Stawie.

I tu nad srebrny rozgwar fal,
Nad duszy mojej łkanie,
Z rozśonecznionych przyszłaś hal
Przypomnieć mi kochanie.

Rozśmiały Ci się lica skał,
Rozśmiały złote wody —
Granatów harnych mocarny wał
Chciał nam wyprawić gody.

Po migocącej ścieli wód
Tańczyły jasne tęcze,
Kiedy szłaś bu mnie, złudo złud,
Przez wirchy i przełęcze.

I przyszłaś, przyszłaś z dzikich hal
Przypomnieć mi kochanie — —
Nad Czarny Staw, nad rozgwar fal,
Nad duszy mojej łkanie...

Znów jesteś z nimi...

Znów jesteś z nimi...

Szare, puste śmiechy
I to bezmyślne paplanie o niczem,
Śliskie spojrzenia, wywietrzałe grzechy,
Trzaskanie marnym, ze starych szmat biczem —

To wszystko znów Cię opływa dokoła,
Znów Cię ogarnia, jak wczoraj, jak ongi...
I jesteś z nimi, jak wiosna, wesoła,
A śmiech Twój dzwoni mi, jak łkanie gongi...

Już długo siedzę w tym posępnym mroku
I patrzę w Ciebie, jak w wstające słońce;
Jak głodny chleba, szukam Twego wzroku
I napotykam... ich spojrzenia drwiące...

Czasem się zbliżam... Chcę paplać, jak oni...
Chcę być choć częstką ich dusz i nastroju —
I aż krew kipi w rozpalonej skroni,
Że błaznem wracam z przegranego boju!

A czasem zagra ktoś... Więc zmilkną słowa...
W melodji słyszę Twego serca bicie...
W Twych oczach płacze dobroć Chrystusowa...
Spojrzałaś na mnie... Jak piękne jest życie!..

Usiadłaś obok mnie — — i chciałbym oto
Wszystką treść moją zamknąć w ócz spojrzenie
I oczarować Cię moją tęsknotą,
Zakłąć Cię w ciche, miłosne milczenie.

Więc patrzę w Twoje w mgłach tonące oczy,
Przypodobane jasnej, letniej nocy...
I jakiś sen mię nawiedza uroczy
I czar rozkosznej, obłędnej niemocy...

— — — — —

Zanim się znowu gwar, zabawa zacznie —
Chciałbym utonąć w Twych oczach na wieki...
Umiłowałem Cię pono niebacznie —

— — —

Tak smutny jestem...

Tak smutny jestem, jak ten las,
Co w mgłach i mroku szumi
I szalejące skargi swe
Żałobną nutą tłumi.

Tak smutny jestem, jak ten las,
Co ściąć go mają ludzie,
A on niebaczny śpiewa pieśń
O utajonym cudzie.

Tak smutny jestem, jak ten las...

Drzewa.

Lipa.

Przed małym, żółtym oknem mojego sąsiada
Wyrosła bujna lipa, strojna w wonne kwiecie,
I cudne przypowieści ludziom rozpowiada...

Gdy znużon życiem miasta wracam do wsi w lecie,
Przychodzę pod jej silne, żylaste konary
I słucham jej spowiedzi o ludziach i świecie...

A szumi dziwne rzeczy... prawdy nie do wiary...
Wysłuchany — — przypominam, że przy takiej lipie
Godny Jan w Czarnolesie pił słodkie nektary...

Dziś, każdy z nas — w błąkaniu — swe gorzkie łzy
[chlipiel..

Włoskie topole.

Przy drodze stoją rzędem wysmukłe topole
I patrzą na południe — za góry i rzeki...
Śnią im się złote morza, przestępcze role — —

Hej! jakby chętnie poszły w ten swój kraj daleki..
Lecz nasza dobra ziemia wzięła je w ramiona
I trzyma je w miłosnym uścisku już wieki...

I nic ich nie oderwie od ciepła jej łona,
Od świętych ust, co pieszczą dziecięcą prostotą
I serca, w którym miłość przenigdy nie skona!..

Topole, bądźcie z nami wraz z swoją tęsknotą!..

Jabłonie.

Mój ojciec sad ma piękny, a w tym pięknym sadzie
Wyrośli mu przeharne i bujne jabłonie,
W których kwieciu słońeczko dzień w dzień spać się
[kładzie.

Radosne szczęściem własnem ślą rozkoszne wonie
Na wszystkie strony świata i do wszystkich ludzi,
I czarują ich serca, ściskają dusz dłonie.

I każdy, kto się pracą owocną utrudzi
I każdy, który głodny, napoju spragniony,
Głód ich wonią ukoi, pragnienie ostudzi —

Gdyż ojciec cud im zadał... (niebu wykradziony...)

Grusze.

Pogięte, stare ciotki, koszlawe i krzywe,
Oslepłe już, bezzębne, w biedniutkiem okryciu
Stoją w ogrodzie smutne, zgrzybiałe i siwe

I mądrze, głuchym szeptem mamroczą o życiu,
Lub szczerze, na głos sobie sny tajemne gwarzą...
Jak babska, wracające z jarmarku w upiciu,

Jedna do drugiej cicho, powolutku łążą,
Kiwają konarkami kruchymi, jak próchno,
Podnoszą listki w górę, coś ważnego ważą — —

A gdy się człowiek zjawi — drętwieją i głuchną...

Dęby.

Jak mądre, święte bogi starodawnych kmieci,
Gromadą gwarną stoją w słonecznej zieleni
Wyniosłe, dumne świadki minionych stuleci.

W głębinach skalnej ziemi tysiącem korzeni —
Rozsiadłe — śnią w tęsknocie o niebieskiej dali,
Gdzie zejść się mamy wszyscy żywotem strudzeni...

I oto, gdy się jasne południe kryształy,
A od pól cichych płyną słodkie upojenia,
Coś się w nich szarpie, męczy, szamoce i żali — —

O dęby! wierne braty mojego cierpienia!..

Brzoza płacząca.

Duchowi Dziada.

Nad biedną mego dziadka samotną mogiłą
Płacząca brzoza długie rozpuściła włosy
I chroni ją przed czasów niweczającą siłą...

Nie zaznał mój dziad szczęścia — miały nim losy —
Przed czasem synom swoim przydzielł ich dział
I w nędzy go zabrały łaskawe niebiosy...

A jednak, jakiż piękny był ten starzec biały,
Jak dumnie nosił czoło — rzekłbyś, iż włada
Królestwem, ziemią całą — że on, to świat cały!..

O Panie! daj mi życie i mogiłę dziada...

Fale.

Modlitwa.

Odsuń odemnie spokojność żywota,
Odsuń, o Chryste, daleko — daleko — —
Niechaj mi serce wyżera tęsknota,
Uczyń, bym stał się wciąż płynącą rzeką...

Odbierz mi wszystko, co mam, co mieć mogę — —
A daj mi długą, kamienistą drogę,
Cierniem porośłą, wysypaną żwirem,
I cel tej drogi zasłonięty kirem...

A gdy już będę dobiegał do celu,
Jak zadżumiony okręt do przystani,
To ty go dalej posuń, Przyjacielu,
Cierniem mię darząc, co najgłębiej zrani...

A jednak...

A jednak... jednak powraca ta chwila,
Kiedy się pragnie uśpić ból, co pali — —
O zmroku wraca przebrzydła, niepiła
I jak kulawy dziad, na Los się żali...

A jednak... jednak przychodzi o zmroku
I chce kojenia smutku, co mię piecze...
I nie masz na nią żadnego uroku
I nigdzie przed nią człowiek nie uciecze...

Ty i ja jedno jesteśmy...

Ty i ja jedno jesteśmy, o wietrze,
Pierś swą raniący o Tatrzańskie granie —
Nikt nam ran krwawych chustą nie obetrze
I nieukojne jest nasze błąkanie.

Choć czasem w mrokach znajdziemy Golgotę,
Stojącą w krwawej purpurze męczeństwa,
Śmierć w nas obudza straszliwą tęsknotę,
Wiodącą dalej — na zwycięstw zwycięstwa.

Więc znów pędzimy dalej, w pustą ciemną,
Przez miasta skalne i wymarłe lasy —
I nie rozłączysz się już nigdy ze mną — —
Cel nasz — iść wiecznie, poprzez wszystkie czasy...

Zakopane, 1906.

Sonet.

Bieluchny, miękki śnieg zaległ ugory...
Z cichych pól wiatr mi niesie wieść radosną,
Że na mych oknach lilje wyrosną,
A za oknami drzew mi rozhowory

Cudnie grać będą w zimowe wieczory —
Że przyjdą starcy i powieść miłosną
Co wieczór będą mi snuć, zanim posną,
A gdzieś... z zachwytu płakać będą bory...

I oto izby mej otwieram wnętrze,
Niech przyjdą starcy, niech snują powieści,
Niech płyną z dali melodje najświętsze,

Co duszę wiodą na Nieznane Brzegi
I tam, jak gwiazdy, konając bez wieści,
Całują śniegi... Ciche, białe śniegi...

Śnieg.

Na smutek Twojej duszy
Śnieg srebrno-biały prószy...
Na smutek mojej duszy
Śnieg srebrno-biały prószy...

W białą, bezbrzeżną,
W cichą dal śnieżną
Posłaliśmy tęsknoty przeczyste:
Twoja była, jak śnieg,
Moja była, jak noc,
A nad nimi niebo lkało gwiazdziste...
Poszły, poszły po lek,
Poszły, poszły po Moc,
Co otula wszystkie smutki ciszą —
I nie wrócą już
Od dalekich mórz,
Choć wołamy — nie słyszą! nie słyszą!..

Na smutek Twojej duszy
Śnieg srebrno-biały prószy...
Na smutek mojej duszy
Śnieg srebrno-biały prószy...

Bądź zdrowa!

Bądź zdrowa!.. Dałem ci serce z kryształu,
Byś upoiła niem do cna swą duszę...
Aleś napluła w nie, jak do kanału —
Czyścić je muszę...

Bądź zdrowa!.. Mile brzmią te dziwne słowa,
W krwi mojej własnej wypłukane z brudów —
Nim Ci się zacznie wić przygoda nowa,
Nie zgnij-że z nudów...

O piękna!.. Cudne nasze pożegnanie!
Deszcz za oknami mży... marcowa pluta...
Zanim dzień nowych rozmarzeń nastanie,
Istna pokuta.

Szare, wyblakłe dni niemej martwoty
Będą Cię dławić, aż przyjdzie następny
Pan od poezyi, smutku i tęsknoty:
Wiecznie posepny...

Nowa komedja nastąpi — a pewnie
I z tej wywiązesz mi się należycie —
Trochę figlarnie zagrasz, trochę rzewnie,
Znasz przecie życie.

Bądź-że więc zdrowa! I czekaj cierpliwie,
Gąsko ty, łasa na „dobre“ zamęście —
Wierz mi, że wszystko skończy się szczęśliwie,
Nawet — nieszczęście!..

Lwów, w marcu 1906.

Fale.

Widzę, jak bieżną, płyną, tańczą,
Jak ranią pierś o skalny brzeg,
Pieśń nucąc straszną, opętańczą,
Jakby je zgryz gorący piekł.

Słyszę, jak jęczą i zawodzą,
Jak płaczą głucho — płynąc wkrąg —
Widzę, jak od skał w głąb odchodzą,
Ku niemym źródłom wiecznych mąk.

Któż was urodził, fale?

— Król.

Jakoż się zowie, jako?

— Ból.

A któż was, fale, pieścił?

— Chłód.

A któż wam błądzić kazał?

— Głód.

Wiecznie płyniecie — dokąd?

— W dal.

Czy nie żal wam się błąkać?

— Żal.

Gdzież jest kres waszej drogi?

— W mgle...

Czy się spotkamy kiedy?

— Nie.

Idą fale, idą, idą, biegną
Ku mnie, ku mnie, coraz bliżej, bliżej —
W głąb mię porwą, przywalą, przylegną — —
Lecę w otchłań coraz niżej, niżej...

Tu dna niema — gdzie brzegi, gdzie brzegi?
Szumią, zawodzą wody —
Toną wieków umarłych szeregi
I ja tonę, ja — młody...

Błogosławiona niech będzie ta fala,
Co mi przyniosła smutek i zwątpienie —
Za jej to sprawą mój dom się obala,
W proch się obraca me mienie.

Wszystko, com dotąd gromadził w śpichlerze,
Płomień tęsknoty niszczy i przepala —
Popiół zostanie mi po starej wierze —
Błogosławiona ta fala...

Po cóż mi śpiewać?

Po cóż mi śpiewać? Po co ranić serce
I ból zbłąkanych dróg zakuwać w krzyże,
Co na rozstajach stoją w poniewierce,
Wskazując wyże?

Po cóż mi śpiewać? Każda pieśń jest męką,
Protestem prawdy i kłamstwa protestem
I przypomnieniem i krwawą udreką,
Że smutny jestem.

I to jest tylko tą prawdą niekłamną:
Mój smutek, głuchy ból i serca lament —
A życie moje, co się wlecze za mną,
Gorzki testament.

Dziś albo nigdy.

Karolowi Adwentowiczowi.

Dziś, albo nigdy. Przedemną mrok głuchy
i noc bez końca —
i nie wywalczę ni sobie ni wam
dnia, coby mroki rozświetlił i noc.

Dziś, albo nigdy. Walczyłem, jak chłop,
którego dziecku chleba kęs ostatni
nieprawe brały ręce — —
i upadam...

Na brzeg mię pusty przypędziły losy
i siedzę tutaj sam i patrzę w próżną dal,
a morza warkot pieni się i wyje
i bałwanami wali o mój brzeg —
i śmiechem dzikich skał, idących w nieba strop,
biczuje moje serce...

Ha ha! jak siecze, jak pali ten śmiech,
jak burzy krew stygnącą! —

...Wszak to ja górom przysięgałem czarnym
iść i wojować i wracać zwycięską,
słońca zapalać i rozpraszać mroki,
prostować ścieżki,
w bólu się odradzać,
zwiastunem Dobra być — —
to ja...

A dziś na pustem wybrzeżu
sam, jak chwast dziki, tu siedzę
i pokonany patrzę w próżną dal — —
anim tu Chrystus na krzyżu rozpięty,
ani mi serca nie żrą głodne sępy,
jeno tak siedzę sam, jak trądem tknięty,
i patrzę — — —
smutek mię dobija tępy...

Dziś, albo nigdy. Skoro świt,
już powinienem być po tamtej stronie.

Śmierć.

Cicha, jak letnia noc — biała, jak wały gór,
Gdy je przylegną śniegi,
Idzie, jak poszum drzew — płynie, jak senny chór,
Przez mleczne gwiazd szeregi...

Zanim odejdę z nią, nim wejdę w inny świat,
Z którego już nie wrócę —
Przyjdź do mnie smutku mój, przyjdź bólu moich chat,
Niech z wami się posmucę.

Przed chatą stoi próg, usiądziem na nim wraz
Wpatrzeni w dno żywota,
Aż się wypełni Los i przyjdzie siwy Czas
I mrokiem mnie omota...

Zanim odejdę cię, o cichy smutku mój
Snuj się koło mnie, snuj...
A ty, o bólu mój, nim mię zabierze Śmierć,
Głębiej się w serce wwierć...

TREŚĆ:

	Strona
Hej! śwarny ci jo chłopiec!	5
Z pieśni wstających zórz.	
Wiosna.	9
Taki nasz los.	10
W drodze.	11
Przedziwne miasto.	14
Od Warszawy grzmią podkowy...	15
Wśród pustych pól.	16
Wstyd pali lica.	17
Bartoszowi	18
Tatry.	
W słoneczne rano.	21
W górach.	22
Nad Zmarzłym Stawem.	23
Szum fal.	24
O Hanusinych oczach.	25
Sabałowe widzenie.	27
Jako Mateja w karczmarce, a karczmarka w nim sie zalubiła.	30
Z tęsknoty.	38
Płacz.	
Płacz.	43
Noc.	44
O zmroku	45
Przy Czarnym Stawie.	46
Znów jesteś z nimi...	47
Tak smutny jestem...	49

	Strona
Drzewa.	
Lipa.	53
Włoskie topole.	54
Jabłonie.	55
Grusze.	56
Dęby.	57
Brzoza płacząca.	58
Fale.	
Modlitwa.	61
A jednak...	62
Ty i ja jedno jesteśmy...	63
Sonet.	64
Śnieg.	65
Bądź zdrowa!	66
Fale.	67
Po cóż mi śpiewać?	71
Dziś, albo nigdy.	72
Śmierć.	77